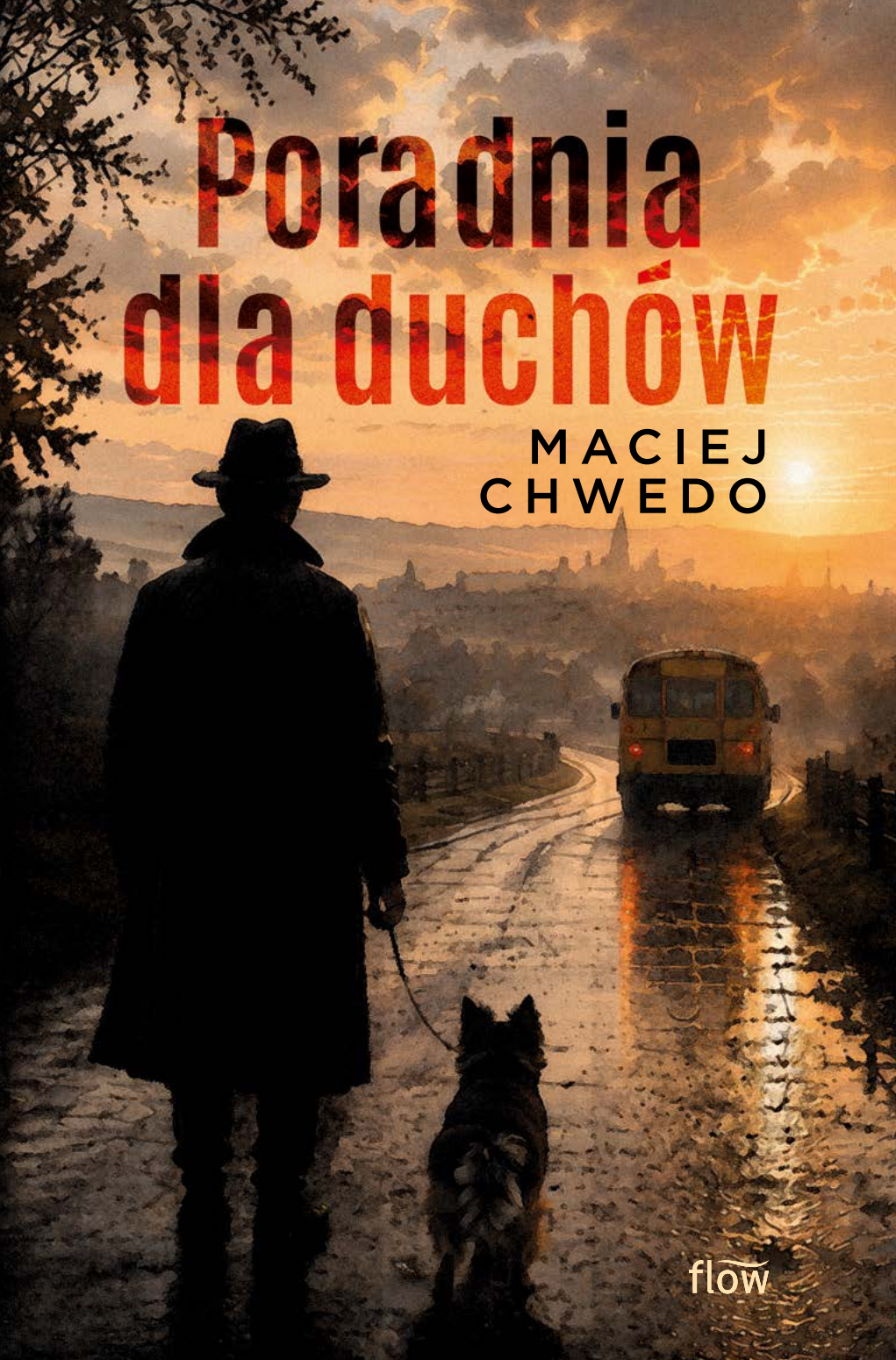

Poradnia dla duchów
MACIEJ CHWEDO
flow

Poradnia dla duchów

Poradnia dla duchów

MACIEJ CHWEDO



flow

Projekt okładki:
Andrzej Lademann z wykorzystaniem narzędzi AI

Ilustracje w książce i na okładce:
Andrzej Lademann; Emanuela Picone, Sincerely Media / unsplash.com

Redakcja:
Anna Żochowska

Redakcja techniczna oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Skład:
Iwona Rybarczyk

Korekta:
Joanna Kłos

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Maciej Chwedo
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-230-7

Druk i oprawa:
Abedik SA

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

Dla Mamy...



1.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Wreszcie cisza i spokój. Gówniarze skończyli zajęcia dodatkowe, a dorośli gówniarze ubrani w za ciasne koszulki z napisem LEWANDOWSKI skończyli obrażać narodowy sport, wylewając litry chmielowego potu na posadzkę sali gimnastycznej, którą czyścił jeszcze tego popołudnia.

Marek mógłby posprzątać teraz i oszczędzić sobie jutro wstawania o piątej, żeby dotrzeć do szkoły, zanim zjawi się ta nadgorliwa jędza, która myśli chyba, że jest dyrektorem banku. Mógłby pospać dłużej w domu, obok Heleny, która jak zwykle zrobiłaby mu kanapki z żółtym serem i keczupem, pocałowała go na do widzenia, życząc spokojnej pracy. Mógłby, ale to było jakieś... osiem, a może już dziewięć lat temu. Helena była tak odległym wspomnieniem, że ledwo pamiętał rysy jej twarzy i tylko kubki smakowe przywodziły na myśl błogie chwile z życia, które – jeśli kiedykolwiek miało miejsce, to z pewnością w życiu poprzednim.

Najłatwiej kłamać o swoich snach, bo te są nie do sprawdzenia – pomyślał, otwierając przeźroczystą butelkę, którą

jak zwykle zamierzał popić sokiem pomidorowym z wiadomych mu powodów, do których nie zamierzał się przyznać nawet przed samym sobą.

Włączył stary telewizor marki Panasonic, którego czasy świetności minęły lata temu. Lubił tego grata. Może dlatego, że mieli ze sobą coś wspólnego? Płaski ekran zakłamywałby rzeczywistość, a przecież życie nie jest idealnie proste. Pociągnął łyk z butelki i włączył kanał, na którym dobrze znany mu polityk grzmiał na tematy, które już od lat gówno go interesowały. Lubił to jeszcze bardziej. Miał wrażenie, że facet mówi do niego. Próbuje go przekonać do jakiejś idei, a on tylko słucha niewzruszony z miną, która miała wybuchnąć gdzieś w okolicach połowy butelki. Wtedy obaj wdadzą się w publiczną debatę, którą z pewnością wygra Marek. A jeśli ten prawicowy tuman z kompleksem niższości, któremu życzył co najmniej kamieniołomów, przegnie pałę, Marek puści mu wiązankę, zmieni kanał i tyle będzie z jego wywodów.

Dochodziła wpół do butelki, więc Marek postanowił włączyć się do rozmowy.

– Tak? – zapytał z przekąsem. – A co ty, pajacu jeden, możesz wiedzieć o głodzie w trzecim świecie?! Siedzisz sobie w tym garniturku, żresz sushi po knajpach i będziesz mi się tu mądrzył o uchodźcach? Byłem tam i widziałem na własne oczy. Obiecuję, że jak kiedyś spotkam cię na ulicy, ty kur...

Wtem rozległy się jednostajne dźwięki, przypominające serię wyrzuconą z magazynku i przedzierającą się przez wygłuszające słuchawki.

Początkowo pomyślał, że wyobraźnia zakrapiana C_2H_5OH – substancją, której wzór ścierał dziś z tablicy w pracowni

chemicznej – płata mu figle. Jednak za chwilę jego zmęczony mózg dokonał wstępnej analizy irytujących dźwięków, podając jak na tacy rozwiązanie dalekie od strzelnicy.

Zerwał się z fotela i wyleciał z kanciapy, nazywanej przez uczniów Norą Jonesa, co miało być swego rodzaju gierką słowną, łączącą imię jakiejś piosenkarki i Indiany Jonesa, którego Marek ponoć do złudzenia przypominał. Szedł zdecydowanym krokiem. Po drodze minął szatnię, z której wydobywał się odór przepoconych butów, przyprawiający go o mdłości.

Zbiegł po schodach, a właściwie zjechał po nich na tyłku i od sali gimnastycznej dzieliły go już tylko metry. Zatrzymał się przed drzwiami i rzucił okiem na tablicę z fotografiami uczniów.

Boże, taka tragedia… – pomyślał, patrząc na datę sprzed dwóch tygodni.

Na podłodze wciąż leżały kwiaty, kilka pluszowych miśków i świeczki, które ze względów sanitarnych gasił chwilę przed zaśnięciem, a zapalał na długo przed pierwszym dzwonkiem. Wciąż słyszał w głowie krzyki niosące się korytarzem szkolnym, chwilę po tym, gdy tylko tragiczne wieści dotarły do szkoły. Te dwa tygodnie trwały niemal wieczność i – jak przystało na mentalne dożywocie – niczyje dobre sprawowanie nie było w stanie skrócić cierpienia.

Wziął głęboki oddech. Skronie pulsowały mu w rytmie techno, którego dzieciaki słuchały na przerwach z małych głośniczków. Przypomniał sobie Jugosławię. Jebaną Jugosławię. Wtedy cały świat obracał się w rytmie techno. Adrenalina zdołała dezaktywować działanie alkoholu,

powodując znajome turbulencje rąk i suchość w gardle. Wilgotne dłonie, jak zaprogramowane, zaczęły układać się w stożek na wzór gestu wykonywanego przez księdza albo polityka, który pragnie przekonać wyborców o swojej prawdomówności. Marek nie zamierzał ani się modlić, ani nikogo przekonywać. Stare nawyki odezwały się w nim jak ból w kolanie, dzięki któremu przewidywał nadchodzące ulewy. Śmiał się czasami, że powinien zostać pogodynką, ale jedyny kontakt z telewizją, na jaki mógł sobie pozwolić, to ten w Norze Jonesa. Podczas jednej ze swoich misji poznał nawet tajemnice indiańskich szamanów, którzy wywoływali deszcze swoim tańcem. Po prostu tańczyli tak długo, aż wreszcie zaczęło padać.

Zdecydowanie za długo stał przed drzwiami sali gimnastycznej. Muzyka techno w głowie przybrała hiphopowe tempo. Na całe szczęście nie słyszał tekstów o dupach, forsie i ulicznej gangsterce, bo ciśnienie automatycznie skoczyłoby w górę. Z dwojga złego już wolał techno. Złapał za klamkę i otworzył drzwi.

Postawny dzieciak ubrany w krótkie spodenki i T-shirt odbijał piłkę do koszykówki, rzucając od czasu do czasu za trzy punkty.

Irytujące, nasilone dźwięki łupania oznaczały, że kac również złożył Markowi niezapowiedzianą wizytę.

– Ty! Michael Jordan! – krzyknął do dzieciaka. – Co tu robisz o tej porze?!

Dzieciak odwrócił się jakby nigdy nic i tylko przewrócił oczami.

– Trenuję do zawodów – burknął w kierunku Marka i wrócił do oddawania rzutów.

Kojarzył tego gnojka. Znał tę twarz. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, czy to uczeń, czy któryś z wynajmujących salę do ćwiczeń. W końcu kto by ich wszystkich spamiętał?

Ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku grającego.

– Jak tu wlazłeś?!

– Normalnie, przez drzwi! – odparł tamten, jakby tłumaczył mu skomplikowane działanie klamki.

Co jak co, ale Marek był pewien, że zamknął wszystkie wejścia. Zawsze robił obchód, zanim rozsiadł się w fotelu z wymazywaczem wspomnień w płynie.

Miał ochotę złapać tego młodego za fraki i wywalić razem z piłką na zbity pysk, jednak dyrektorka wyraźnie kazała mu załatwiać takie sprawy polubownie.

– Słuchaj, daję ci minutę i dzwonię po policję!

Dzieciak uśmiechnął się pod nosem i przestał na chwilę mylić piłkę z kilofem.

– Słuchaj, Indiana Jones. Nie za wcześnie na picie? Dzwoń sobie, gdzie chcesz, ale daj mi trenować, bo obiecałem ojcu, że za tydzień zostanę MVP turnieju. Będą trenerzy innych klubów, więc sorry, ale jeśli nie chcę być cieciem jak ty... A nie chcę, to zejdź mi z drogi, bo powiem dyrce, że chlejesz.

Wyobraźnia Marka właśnie wyprowadzała gówniarzowi lewy prosty, po którym niewyparzona gęba spuchłaby mu do rozmiarów piłki. Marek zdawał sobie jednak sprawę, że po takiej interwencji to jego wyprowadziliby stąd w kajdankach.

– Sam tego chciałeś – wycedził przez zęby i ruszył do kanciapy, kończąc w myślach żywot dzieciaka na kilkanaście różnych sposobów.

Zamknął za sobą drzwi, żeby choć trochę wygłuszyć odgłosy walenia, rozważając, czy patrol policji się zorientuje, że stan Indiany bynajmniej nie należy do zjednoczonych.

Przypomniał sobie mało odpowiedzialne czasy, kiedy to wystarczyło pokazać funkcjonariuszowi legitymację, a ten jeszcze przepraszał za to, że żyje. Kątem oka zauważył wredny uśmieszek dzieciaka i zanim zdążył puścić soczystą wiązankę, zamarł w miejscu, jakby ktoś raził go paralizatorem. Był pewien, że policja się nie zorientuje, że pił, bo w tamtej sekundzie cały alkohol wyparował z niego jak resztki zdrowego rozsądku. Był pewien, bo nie zamierzał już nigdzie dzwonić, jeśli nie chciał trafić na pierwsze strony szmatławców z dopiskiem „wariat".

Zajęło mu dobre czterdzieści minut, zanim odważył się ponownie otworzyć drzwi do sali gimnastycznej. W głowie miał mętlik, a jego myśli szukały logicznego wytłumaczenia, błądząc gdzieś pomiędzy głupim kawałem a możliwym zespołem stresu pourazowego, który nawiedził go spóźniony o co najmniej kilka ładnych lat. Przypatrywał się przez chwilę koszykarzowi, a jego cera coraz bardziej przypominała kolorem obdrapaną ścianę.

– Michał? – wybełkotał wreszcie, choć tak naprawdę nie wiedział, o co chce zapytać chłopaka.

Michał odwrócił się, zostawiając w spokoju piłkę, która jeszcze chwilę temu wybijała rytm serca Marka.

– Indiana, źle z tobą. Gram od godziny, a ty się pocisz bardziej ode mnie.

– Michał Malik, czy to ty? – wykrztusił Marek, przełykając wirtualną ślinę, bo prawdziwa zniknęła gdzieś wraz ze świadomością.

– A kto niby? Indiana, może ty lepiej po karetkę zadzwoń, a nie po psy? Albo ja to zrobię, bo w miarę cię lubię i nie chcę cię mieć na sumieniu.

Gdy tylko Michał ruszył w stronę Marka, ten odskoczył do tyłu jak wystraszony dachowiec buszujący w śmietniku. Odprowadził wzrokiem Michała, obiecując sobie, że to definitywny koniec picia alkoholu, a jak tylko wstanie rano, poprosi o dzień wolnego i pobiegnie do najbliższej przychodni zapisać się na rezonans mózgu.

Siedział jeszcze przez chwilę na sali, aż wreszcie zaczął skradać się do drzwi, jak kiedyś w Jugosławii. Jebanej Jugosławii, która mogła rzutować na jego obecne racjonalne postrzeganie rzeczywistości. Ostrożnie wyjrzał przez drzwi, by sobie uświadomić, że jego co najmniej niepokojący stan utrzymuje się niczym boja na falującej wodzie.

Drżące płomyki świec rzucały migoczące światło na twarz Michała, który wpatrywał się w tablicę ze zdjęciami uczniów.

Utkwił wzrok w fotografii podpisanej: Michał Malik.

– To ma być śmieszne? – rzucił w przestrzeń Malik, nie odrywając spojrzenia od swojej twarzy na czarno-białym kartoniku. – Kto to zrobił?

– Uczniowie – odpowiedział Marek, chociaż czuł, że odpowiedź jest głupsza niż pytanie.

– Wójcik pewnie – syknął Michał. – Rozwalę mu ten głupi ryj.

– Jest tam – rzucił Marek, wskazując drżącym palcem na zdjęcie dzieciaka po prawej od fotki Michała.

Michał spojrzał najpierw na zdjęcie pryszczatego żartownisia z irokezem na głowie, a potem na Marka. Jego oczy wyrażały swoistą mieszankę złości i pogubienia.

– Co tu się dzieje? To jakiś kawał? Że niby już przegraliśmy zawody?

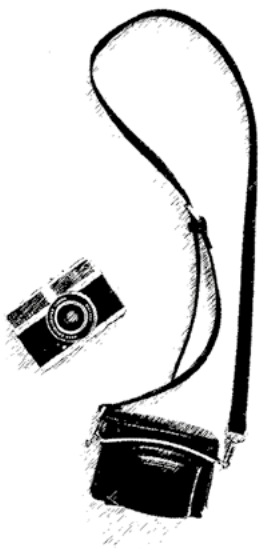
Rozsądek podpowiadał Markowi, że to tylko głupi dowcip, jednak wszystko wydawało się zbyt realne.

– I szkoła na to pozwala? – kontynuował pretensje Malik. – To jawne podcinanie skrzydeł, a ojciec zawsze mi mówi, że nastawienie jest najważniejsze.

– Nie... nie przegraliście żadnych zawodów – wybełkotał Marek.

– Wiem! Dlatego nie kumam, skąd ten hejt?! – miotał się Michał.

– Nie przegraliście, bo... wszyscy nie żyjecie.





2.

Otaczający las doskonale kamuflował ośrodek wojskowy położony w Starych Kiejkutach. Prowadziła do niego tylko jedna droga, a czuwający na wieżach strażniczych żołnierze dbali o to, by niepożądani goście zawracali, zanim zdążą zawrócić komukolwiek głowę. Szkolenie powoli dobiegało końca i zostali tam tylko nieliczni z kandydatów na przyszłych agentów.

Marek wiedział, że od tego dnia zależy wszystko. Czuł podekscytowanie, które związane było raczej z końcem szkolenia niż przebiegiem misji. Trafił do ośrodka w Starych Kiejkutach dziewięć miesięcy temu.

Helena była wtedy w trzecim miesiącu ciąży. Z prostego wyliczenia wynikało zatem, że na świecie pojawił się nowy członek rodziny Marka, którego ten, niestety, nie widział jeszcze na oczy. To miało się niebawem zmienić, niezależnie od tego, jak poradzi sobie z zadaniem. Nie mógł się doczekać, aż pozna syna, choć wizja ojcostwa przyprawiała go o delikatne drżenie rąk. Obawiał się, czy podoła wyzwaniu, bo sam wychował się bez taty, którego poznał dopiero jako dorosły już mężczyzna. Mniej martwił się o misję,

bo przecież nawet jeśli zostanie złapany, nie stanie przed sądem ani nie trafi za kratki. Jedyne, co mogło pójść nie tak, to nerwowa reakcja jakiegoś żółtodzioba ze Szczytna, który naoglądał się za dużo westernów.

– Poradzę sobie – powiedział pod nosem, raz jeszcze zapamiętując szczegóły mapy, którą musiał zostawić przed wejściem do samochodu.

W drodze do Szczytna wspominał, jak znalazł się w tym miejscu.

Marek nie wiedział, co chce robić w życiu, więc postanowił zdać się na los. Pewnego dnia, gdy wracał ze szkoły „na cycu", co stanowiło jego ulubioną formę transportu miejskiego, poznał Sikora, który może też chciałby wskoczyć na tylną część trolejbusu, ale z uwagi na liczbę kilogramów porównywalną z ciężarem maszyny, słusznie postanowił tego nie robić. Panowie zaprzyjaźnili się przy butelce taniego wina i kilku pogniecionych papierosach marki Caro, które Sikor podkradał ojcu. Stary Sikora miał niebawem odegrać kluczową rolę w mglistej przyszłości Marka, bo widząc w nim potencjał, którego brakło jego latorośli, zaproponował mu pracę.

– Słyszałeś o UOP–ie? – zapytał pewnego razu, a że Marek nie chciał wyjść na ignoranta, to przytaknął głową.

Stary Sikorski od razu wyłapał nieudolne kłamstewko Marka. Uśmiechnął się tylko pod nosem, bo wiedział, że już niedługo ten nieopierzony małolat będzie fałszował jak z nut, a muzyka, którą zagra, trafi w najdalsze zakątki świata.

– Urząd Ochrony Państwa – dodał pułkownik Sikorski. – Nadawałbyś się do nas. Widzę w tobie potencjał.

– Potencjał? – zapytał zaintrygowany Marek, bo choć o potencji kiedyś słyszał, to komplementami o potencjale nie

raczyła go matka, nauczyciele ani nikt, kogo spotkał na dotychczasowej drodze. – Co miałbym robić w tym urzędzie?

Sikor wykrzywił kącik ust, jakby wskazywał mu kierunek przyszłości.

– A tego, młody, to jeszcze ci nie mogę powiedzieć. Powiem ci za to jedno. Nie wychylaj się przez miesiąc. Koniec jeżdżenia „na cycu". Koniec z piciem pod blokiem i lepiej bądź miły dla sąsiadów.

– Dla sąsiadów? Jestem dla nich miły. – Odparł zdziwiony.

– To dobrze. Dzielnicowy może przeprowadzić z nimi wywiad środowiskowy.

– To jakaś próba? – zapytał niepewnie Marek.

– Na próby, kochany, to jeszcze przyjdzie czas. Na razie będziesz pod obserwacją, więc lepiej, żebyś niczego nie odwalił.

Niedługo potem Helena oznajmiła Markowi, że spodziewa się dziecka. Odkładała tę radosną nowinę przez dobre dwa miesiące, gdyż – wbrew temu wyrażeniu – miała spore wątpliwości, czy rzeczywiście jest się z czego radować. Chciała mieć dziecko, ale nie była gotowa na dwójkę. Podczas gdy jej chłopak jeszcze w zeszłym miesiącu jeździł „na cycu", ona zastanawiała się, czy będzie ich stać na wykarmienie małego, jeśli przyjdzie czas go od cyca odstawić.

Marek opowiedział jej o propozycji pracy, którą dostał od Sikora seniora. Urząd Ochrony Państwa, jak sama nazwa wskazywała, dawał posadę państwową, czyli bezpieczną. Marek nie miał wówczas pojęcia, jak bardzo się mylił. Wszystko brzmiało idealnie, no, może z wyjątkiem jednego haczyka. Musiał wyjechać na dziewięć miesięcy i nawet nie mógł powiedzieć Helenie dokąd. Choć cała sprawa brzmiała dla

niej enigmatycznie, uznała szkolenie Marka za dobry pomysł. Sama nie do końca potrafiła go wytresować, więc może innym uda się przemienić go w odpowiedzialnego mężczyznę?

– Jedź – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Jesteś pewna?

– A mamy jakiś wybór? – Kończąc to retoryczne pytanie, położyła dłoń na swoim brzuchu.

– Pojadę i dostanę tę pracę – postanowił Marek.

Tamtej nocy szkolenie miało wreszcie dobiec końca. Ciężarówka z naczepą zatrzymywała się w różnych punktach, wyrzucając po drodze kolejnych potencjalnie przyszłych agentów.

Było ich pięciu. Marek wyskoczył jako trzeci. Zadaniem każdego z nich było dotarcie do wyznaczonego punktu w niecałą godzinę. Szkopuł polegał na tym, że miejscowa policja od rana była postawiona w stan gotowości. Funkcjonariusze mieli rysopisy całej piątki poszukiwanej za bestialskie morderstwo. Na dodatek wyznaczony punkt znajdował się w najbardziej uczęszczanym lokalu w mieście, a policjanci dostali anonimowy cynk o tym, gdzie ich szukać.

Pochmurne niebo tryskało strumieniami, jakby aniołki postanowiły tej nocy zeszczać się na Szczytno. W przeciwieństwie do kolegów Marek postanowił wykorzystać zasadę – najciemniej pod latarnią.

Z początku podczepił się pod grupkę pijanych studentów, z którymi śpiewał na całe gardło *Kryzysową narzeczoną*. Minął po drodze dwóch tajniaków, którzy – zgodnie z jego przypuszczeniami – tylko rzucili nieprzyjazne spojrzenia na zachlanych przyszłych magistrów i skupili się na poszukiwaniach Hannibala Lectera w liczbie mnogiej. Z minuty na minutę było coraz trudniej. Pojawiało się coraz więcej spiętych jak struna facetów,

którzy udawali, że wyszli na spacer, oraz patroli policyjnych, które starały się oczyścić teren. Jeden z nowych „kolegów" Marka posłał im nawet wiązankę, która w innych okolicznościach skończyłaby się pałowaniem i izbą wytrzeźwień, tego dnia jednak mundurowi mieli ważniejsze rzeczy do roboty.

Marek wiedział, że jego strategia ma słabe strony. Repertuar zespołu Lady Pank powoli się kończył, a studenci zamierzali odbić na parapetówkę do niejakiego Pytona, który ponoć zyskał swój przydomek, kiedy to pewnego razu zaczął wymachiwać członkiem na zajęciach z ekonomii. Marek niepostrzeżenie schował się w jednej z uliczek prowadzących do sklepu z szyldem U JOLI – ALKOHOL, PAPIEROSY, ARTYKUŁY SPOŻYWCZE I DOMOWE. Spojrzał na błotnistą kałużę, obdrapany kosz na śmieci i wiedział już, co musi zrobić. Na szczęście miał przy sobie niezawodny scyzoryk szwajcarski, który przydawał się w takich okolicznościach.

Marek wszedł do sklepu, zastając potencjalną Jolę, która właśnie kończyła zmywać podłogę.

– Zamknięte! – ryknęła, nie odrywając wzroku od mopa.

– Przepraszam – odparł Marek. – To naprawdę wyjątkowa sytuacja.

Jola spojrzała na Marka spode łba i jak gdyby nigdy nic wróciła do sprzątania sklepu.

– Jak musi się napić, to do monopolowego – rzuciła po chwili.

– Pani nie rozumie – odparł Marek, posyłając jej wstydliwy uśmiech. – Urodził mi się syn, Maciek. I... jak by to powiedzieć... zapomniałem o pieluchach. Małżonka nie wpuści mnie bez nich do domu.

Jola wykonała zamaszysty ruch, przypominający rozbitka dryfującego na tratwie z prowizorycznym wiosłem,

i wreszcie zostawiła mopa w spokoju. Spojrzała na Marka, wzdychając ciężko pod nosem.

– Ach, wy młodzi, to ja nie wiem. Myślami w chmurach ciągle. Tam. – Wskazała na pieluchy i ruszyła za kasę ociężałym krokiem smoka z Komodo.

Marek złapał pierwszą lepszą paczkę i położył na ladzie. Zauważył baton marki Mars i dołączył go do zakupów.

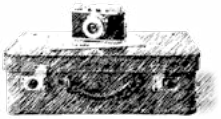
– I jeszcze to – uśmiechnął się do Joli. – Dla Maćka.

– Dziecku czekoladę? Zwariował żeś pan? – zrugała go, przybierając minę, której zapewne używała, gdy któryś ze stałych klientów prosił o zapisanie go na zeszyt.

– No, dobrze. To dla mnie – odparł Marek, wyciągając portfel. – Mam słabość do słodyczy.

Niski, chuderlawy tajniak opowiadał właśnie jakąś zabawną historyjkę postawnemu, ogolonemu na pieczarę koledze, który z powagą na twarzy obserwował wejście do celu Marka. Historyjka musiała być zabawna, przynajmniej dla kurdupla, bo co i rusz zaśmiewał się pod nosem. W pewnym momencie pieczara odwrócił wzrok od wejścia z miną, jakby właśnie przeżuwał cytrynę. Wzrok kurdupla powędrował tam, gdzie wcześniej patrzył ten drugi, i śmieszek pozieleniał na twarzy, reagując odruchem wymiotnym.

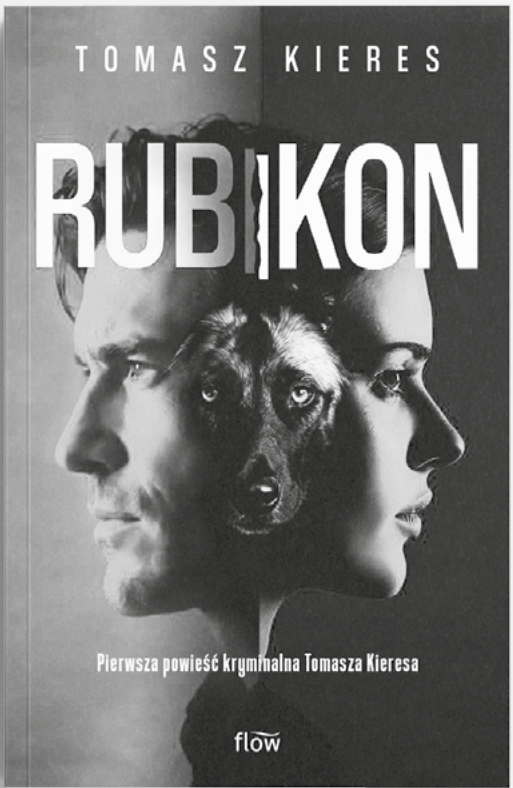
Umorusany błotem Marek, w postrzępionych ubraniach i z torebką foliową ze złotym napisem BOSS, stał przy śmietniku z pieluchą w ręku. Mars smakował wyśmienicie, choć tajniacy mieli w głowach zupełnie inne myśli. Marek usłyszał plask wymiocin uderzających o mokry betonowy chodnik. Wiedział już, że policjanci za żadne skarby nie spojrzą w jego stronę.



Nasze książki kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



Nasze książki kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



flow

wydawnictwoflow.pl

Największym dramatem nie jest śmierć, lecz utrata bliskości za życia.

Marek, były agent, dziś szkolny woźny i człowiek, który przegrał przede wszystkim z samym sobą, od lat próbuje zagłuszyć przeszłość alkoholem. Kiedy zaczyna widzieć duchy ludzi, którzy zginęli w tragicznych okolicznościach, otrzymuje szansę, której nigdy się nie spodziewał.

Pomagając zmarłym odnaleźć spokój, Marek coraz boleśniej uświadamia sobie, że sam od lat ucieka przed najważniejszymi pytaniami. Bo najtrudniej zmierzyć się z własnymi błędami, zwłaszcza gdy dotyczą tych, których kochamy najbardziej.

Przejmująca powieść o winie, odkupieniu i drugich szansach. O duchach, które pozostają między światami i ludziach, którzy za życia potrafią stać się dla siebie nawzajem niewidzialni.

Patronat medialny:

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka!

W sprzedaży także:

ebook audiobook

flow

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8364-230-7

9 788383 642307